



grazyna plebanek

przystupa

### Grażyna Plebanek

(ur. 1967) – ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, pracowała jako dziennikarka dla Agencji Reutera i „Gazety Wyborczej”. Przez kilka lat mieszkała w Sztokholmie, ostatnio przeniosła się do Brukseli. Autorka bestsellerowych *Dziewczyn z Portofino* (W.A.B. 2005) i powieści *Pudełko ze szpilkami* (W.A.B. 2006), wydanej po raz pierwszy w roku 2002, nagrodzonej w konkursie wydawnictwa Zysk i S-ka. *Przystupa* to jej najnowsza powieść.



SERIA Z MIOTŁĄ



Christine Angot  
*Kazirodztwo*

Majgull Axelsson  
*Dom Augusty*

Maryse Condé  
*Ja, Tituba, czarownica z Salem*

Petra Hůlová  
*Czas Czerwonych Gór*

Grażyna Jagielska  
*Fastryga*

Alona Kimchi  
*Płacząca Zuzanna*

Melania Mazzucco  
*Tak ukochana*

Marsha Mehran  
*Zupa z granatów*

Mian Mian  
*Cukiereczki*

Jaclyn Moriarty  
*Mam łóżko z racuchów*

Helen Oyeyemi  
*Mała Ikar*

ZZ Packer  
*Pijąc kawę gdzie indziej*

Halina Pawłowska  
*Zdesperowane kobiety  
postępują desperacko*

Grażyna Plebanek  
*Dziewczyny z Portofino  
Pudełko ze szpilkami*

Ena Lucía Portela  
*Sto butelek na ścianie*

Sonia Raduńska  
*Białe zeszyty*

Ahdaf Soueif  
*Mapa miłości*

Oksana Zabuzko  
*Siostró, siostró*

grazyna plebanek

**przystupa**

Wydawnictwo  
**ab**

Wiedziała, że będzie żyła sto lat. Oparta plecami o ścianę chałupy, z głową okrytą kwiecistą chustą, wysnuje historię Gwiazdy, tej niby-Madonny, i Hyry, podłości się niebojącej, i trzeciej Pani, delikatnej, co męża zabiła, i czwartej, Gun, diabolicznej, która wstydu nie miała. Poprawi węzeł pod brodą, przesunie językiem po bezzębnych dziąsłach i będzie memlać ich dzieje jak paciorki różańca, aż przyjdzie sen, który poniesie ją nad złem jak nad kupą gnoju.

Skąd wiedziała? Trudno zgadnąć, ona niewiele mówiła, trzymała wszystko dla siebie.

A zaczęło się od ucieczki. Wciąż jeszcze ją widzę, jak stoi na środku izby i powtarza uparcie:

– Muszem jechać...

## początek tej historii

Kiedy spotykamy po raz pierwszy Przystupę, ma dziewiętnaście lat. Jest chuda, żyłasta i jakby sękata. Długie włosy są na końcach spalone trwałą. W jej twarzy nie ma nic, co przykułoby uwagę konesera piękności czy amatora wynaturzeń. W owym czasie Przystupa, odporna na kpiny koleżanek z krawieckiej zawodówki, zapłata włosy w warkocz; na co dzień nosi dżinsy i pomarańczową kurtkę kupioną w miasteczku leżącym koło jej wsi.

– W takich waciakach na torach robio – wyśmiała ją macocha, kiedy dziewczyna wyjęła kurtkę z siatki.

Ale Przystupa wzruszyła ramionami. Torów nie widziała, nie była nigdy w dużym mieście. Kiedy klasa pojechała na wycieczkę do Lublina, ona siedziała w domu, bo dostała akurat wszy. A kurtka jej się podobała, może dlatego, że taką miała młodsza siostra macochy, która jak inne wyjechała ze wsi.

Ta daleko celowała, nie do Lublina ani Warszawy, tylko do Niemiec – ale utknęła w Słubicach i stamtąd przyjeżdżała raz do roku na Zaduszki, jaskrawo ubrana. Aż przestała i słuch po niej zaginął.

– To za kurwienie kara – mówili ludzie, gdy macocha zanosila się płaczem za siostrą.

Ryczała przez to jeszcze głośniej, już ze złości, bo spokoju im nie dawali, na niej też sobie języki strzępili, dopóki za starego Przystupę nie wyszła, a i w dzień ślubu mu wypominali, że wziął największą kurwę we wsi. Tylko jej drugiej siostry, Janki, się nie czepiali, bo poszła na gospodynię do księdza, po tym, jak wyrzucił starą.

Kiedy w Wielki Piątek Przystupa oznajmiła: „Muszem jechać”, macocha popatrzyła na nią i wybuchnęła

placzem. Przystupa nic nie powiedziała, ani wtedy, ani nazajutrz, gdy stanęła z walizką na przystanku pekaesu, próbując chwycić na pożegnanie sękatą dłoń ojca. Niewprawnie to zrobiła, aż chrząknął z zakłopotaniem, wcisnął jej parę banknotów, a potem odwrócił się, charknął i wsiadł na wóz. Przez brudną szybę autobusu patrzyła na pochylone plecy i nasuniętą na czoło czapkę z daszkiem, której nawet w chałupie nie zdejmował.

Pekaes ruszył. Przystupa przez szybę dostrzegła zarys kapliczki z Madonną, której ktoś dolepił twarz wyciętą z kolorowego pisma. Najpierw we wsi była o to obraza i szukanie sprawcy, a potem nagle wszystkim się ta twarz spodobała i teraz kładli przed nią świeże kwiaty.

Za kapliczką ciemniała przetrzebiona aleja prowadząca do wsi, za którą stała chałupa starej Gospodyni z plebanii, oparta bokiem o największy w okolicy dąb. Zieloną tabliczkę z napisem „Pomnik przyrody” ktoś w końcu ukradł. Kiedy Przystupa była mała, usiłowała dąb objąć, ale nie potrafiła sięgnąć dłońmi nawet do punktów, gdzie krzywizna się zaokrągląa. A przecież rośla, widziała po znaczkach, które Gospodyni nacinała co roku na korze.

Z Gospodynią się nie pożegnała. Stara narzekałaby tylko, że wszystkie wyjeżdżają, że nie ma komu rodzić dzieci ani z kogo wykrobywać niechcianych; o pustych chałupach by mówiła i pijanych chłopach, którzy zaczepiają nawet ją, staruchę, aż musi ich straszyć święconymi medalikami i pieprzem z solą w oczy sypać.

Ostatnim znajomym kształtem, który zobaczyła Przystupa, opuszczając wieś, była szpica kościoła w pobliskim miasteczku. Ojciec woził tam czasem w niedziele córkę, teściową, żonę i jej niedorozwiniętego brata. Przystupie kościół wydawał się niegdyś ogromny, ale z wiekiem zmalał.

Księżda nie pamiętała. Być może kiedyś słuchała tego, co mówił, ale pewnej niedzieli przestała.

Było to w dzień po doprowadzeniu klaczy do ogiera Pępichów. Miała kilka lat, kiedy po śniadaniu ojciec z wielkim namaszczeniem wsadził na furmankę ją, macochę i jej przygłupiego brata. Nie jechali długo, ogier stał w drugim obejściu od końca wsi, patrząc od lasu Rylskich, i zamiast tarabanić się wozem, można było przejść te kilkaset metrów, prowadząc klacz na powrozie, ale ojciec się zaparł.

Na podwórku u Pępichów zleźli z fury, a ojciec zniknął z gospodarzem w chałupie, żeby rozpić flaszkę, bo mówił, że bez tego nie szło zaczynać. Pępichowa stała najpierw nadęta w sieni, ale mąż dźgnął ją łokciem pod żebra; ruszyła się i zaprosiła macochę, żeby usiadły na przyzbie.

Pępichowa, jak większość bab we wsi, nie znosiła macochy Przystupy, młodej, niegdyś ładnej kobiety, która nie uciekła stąd, chociaż jej siostry powyjeżdżały do Radzyna, Lublina, Warszawy i nie wiadomo gdzie jeszcze. Macocha została na wsi i miała się dobrze, puszczać się nie tylko z kawalerami, ale i wyrostkami oraz żonatymi. Wyboru wielkiego nie miała, bo z biegiem lat z niezonałych na wsi pozostał ksiądz, bezzębny organista, kilku owdowiałych starców i jej niedorozwinięty brat, tłukła się więc po stodołach z każdym, kto się nawinał, a że wzięcie miała, bywało, że w sobotnie wieczory obcowała ze wszystkimi chłopami, którzy zdołali się po pijaku do niej dobrać.

Ojciec macochy zapił się na śmierć tej nocy, gdy chłopci doprowadzili go do stodoły, w której córka przyjmowała fatygantów. Podobno stał chwilę, patrząc na jej uniesione w górę nogi i czyjś drgający na niej tyłek, a potem odwrócił się bez słowa i zniknął w ciemności.

Następnego dnia rano znaleziono go zwiniętego w obwarzanek koło własnego chlewu. Zamarznięty, leżał z flaszką po denaturacie zaciśniętą w sztywnej dłoni.

Po tym wszystkim matka macochy nawet nie próbowała sobie radzić sama z gospodarstwem, od razu wydała córkę za starego Przystupę, któremu trochę pola i obejście miało wynagrodzić hańbę poślubienia największej kurwy we wsi. Sama sprowadziła się do domu zięcia, ciągnąc ze sobą przygłupiego syna. W chałupie zrobiło się ciasno, Przystupa musiała im oddać dużą izbę i przenieść się do mniejszej, gdzie sypiał ojciec z żoną. Zanim na Wielkanoc zbił jej kozetkę, całą zimę znosiła szturchania i jęki nowożeńców kotłujących się w łożu.

Ojciec Przystupy oszalał na punkcie młodej żony, a i ona już nie brała sobie innych. Mężowi dawała w nocy i w dzień, nie dbając o ludzkie spojrzenia, toteż ludzie, źli, że tych dwoje obłapia się bezwstydnie, zabronili dzieciom bawić się z Przystupą. Nudzila się na początku, ale wstydzila się za nimi biegać, więc bawiła się sama.

Teraz, gdy patrzyła na kopulujące konie, poczuła, że nachodzi ją ta sama fala zmęczenia. Obok niej Pępichowie, ojciec, macocha i jej brat śmiali się wsparci pod boki, z twarzami nabiegłymi krwią i ustami zionącymi ostrym zapachem wódki.

Po pijaństwie Pępichowa poszła spać do izby, gospodarz zarzygał stół i zasnął pod nim, a stary Przystupa zaciągnął żonę pod ścianę obory i zaczął podnosić jej spódnicę. Dziewczynka ziewnęła i ruszyła na poszukiwanie miejsca do spania. Z paradnego pokoju, którego ścianę zdobił obraz Jezusa z zakrwawionym sercem, ściągnęła haftowaną poduchę leżącą pod pupą wystrojonej lalki-Cyganki, przeszła przez sień i zajrzała do mniejszej izby.

Ciemność chwyciła ją silnymi rękami i pobekując niezrozumiale, rzuciła na twardą podłogę. Poduszka od-turlała się bezszelestnie, Przystupa poczuła, że między

uda wciska jej się coś twardego. Mógł to być czyjś łokieć lub kolano, szarpnęła się, żeby się odsunąć, jak co noc, ale wielkie ciało przygniotło ją do ziemi, wokół zakłębiły się nogi, owłosione jak końskie pęciny. Mokre, czepliwe ręce chwyciły jej biodra – usłyszała zwierzęce chrapanie, a potem poczuła straszny ból w podbrzuszu.

Następnego dnia była niedziela. Słońce obsiadło rzędy forsycji kwitnących pod kościołem, było tak jasno, że zsiadając z furmanki, musiała zmrużyć oczy.

– Chodźże – szturchnęła ją macocha.

– Lać będę – odparła.

Macocha wzięła męża pod rękę, a Przystupa zniknęła za kościołem – chciała tylko objąć rękoma rwący tępo brzuch. Schowana za rogiem patrzyła, jak wierni znikają w środku, jak drzwi zamykają się za ostatnimi. Ale gdy została na zewnątrz sama, zabolalo jeszcze mocniej. Wyprostowała się i podeszła na słabych nogach do kościelnych wrót. Bała się stać tu sama, chciała być w środku, ze wszystkimi.

Naparła chudym ramieniem na drewniane drzwi. W ciszy poprzedzonej skrzypnięciem zawiasów wierni odwrócili głowy i zagapili się na małą Przystupę. Stała w progu kościoła, nie sięgając głową klamki, i mrugała w półmroku. Spojrzenia wiernych, światło przesiane przez kiczowate witraże, kadzidlane powietrze otoczyły kokonem chude ciało tak szczelnie, że choć wytrzeszczała oczy, nie mogła dojrzeć ani pochylonego grzbietu ojca, ani tłustych policzków macochy, ani owłosionych przegubów nóg jej brata.

Tkwiła tak, nieruchomo, z dala od szturchnięć, gorąca, potu, śluzu i bólu, dopóki dźwięk dzwonek nie wdarł się w kościelną ciszę. Wierni zaszurali, pochrząkali i odwrócili się od Przystupy. Zobaczyła ich plecy okryte

ciemnymi paltotami, kraciastymi chustami. Zrobiło jej się zimno, a brzuch znów szarpnął bólem.

Po przeciwnej stronie kościoła pojawił się ksiądz i stanął na podwyższeniu, krągła sylwetka w ozdobnych szatach. Spojrzała znów na plecy zgromadzonych, a potem na niego, jakoś tak błagalnie...

Ale on jej nawet nie zauważył. Głosem surowym i nakazującym strofował, sądził, grzmiał, unosił się nad nimi. Przystupa skuliła się. Ksiądz był tak wysoko! Wyżej od wszystkich... Czy był blisko Boga?

Od kościelnych ścian ciągnął taki chłód, że aż zadzwoniła zębami. Ludzie stali tyłem do niej, pochylali głowy, bili się w piersi, a ksiądz nad nimi powtarzał: są winni – wszyscy, jak tu stoją – są brudni, grzeszni i źli! Tacy się już rodzą.

Nawet jeśli kiedykolwiek go słuchała, to tej niedziele przestała. Wyszła stamtąd, zanim skończyła się msza.

Do kościoła wracała za każdym razem, gdy nie udało jej się wymigać od mszy. Zasłaniała się bólem brzucha, aż macocha radziła się Gospodyni, czy nie dać by czegoś małej, bo jeszcze dostanie skrętu kiszek. Gospodyni cmokała i zabierała Przystupę do swojej chałupy, gdzie parzyła jej zioła. Wywar nie był gorzki, tylko słodki i kojący (kiedy Przystupa podrosła, odkryła, że to była mocna herbata z sokiem malinowym).

Zostawała z Gospodynią, która rzadko bywała w kościele. Przez wiele lat gotowała na plebanii, przestała dopiero po aresztowaniu młodego księdza, który wyglądał jak Jezus. Po nim nastał nowy, gruby, zawsze z czegoś niezadowolony, a ona miała pełne ręce roboty, gotując mu, piorąc, robiąc weki i przyjmując księży z Warszawy, którzy zostawali czasem przez kilka tygodni – dla jej potraw. A jednak nowy ksiądz wciąż był jej niechętny, aż pewnego dnia przyprowadził na plebanie młodszą siostrę ma-

cochy, żylastą Jankę, wówczas jasną, smukłą nastolatkę – i kazał starej przyuczyć ją do gospodarowania.

„Napatrzyłam się!” – machała ręką Gospodyni przed Przystupą i macochą. Innym opowiadała, że ją rwie w biodrze. Wzruszali ramionami – stara już była, nic dziwnego, że babę pogięło.

Do komunii Przystupa przystąpiła razem z innymi dziećmi ze swojej wsi. Podczas przygotowań próbowała słuchać tego, co mówił ksiądz, ale jego słowa były jak szklane paciorki, gładkie, krągłe i bez koloru (powiedziała potem Gospodyni, że piją ją w szyję). Zmęczona przenosiła wzrok na figurę Najświętszej Marii Panny i przyglądała się zrezygnowanej twarzy, słodkim, smutnym ustom i wiotkiej sylwetce, zakrytej od stóp do głów drapowaną materią.

W domu brała prostokąt małego lustra, którego ojciec używał do golenia (macocha nie lubiła luster, mówiła, że jak kto umrze, będzie tylko robota z zasłanianiem) i okrywała włosy niebieskim swetrem, wznosząc oczy do sufitu i robiąc smutną minę. Podobiała się nawet sobie taka, dlatego podczas komunii starała się przybrać ów melancholijny wyraz podpatrzony u Madonny, ale tylko twarz jej od tego zdrętwiała i chyba coś w środku też, bo kiedy zapalali świece, tak zeszywniały jej nogi, że pod koniec obrzędu ledwo mogła się ruszyć.

Wierni patrzyli na nią, jak stała w niepokalanie białej sukience, wpatrywali się, tak że przez krótką chwilę mogła być poza zasięgiem wszystkiego: zapachów, głosów, dotyku, smaku... Ale choć oddzielali ją tym wzrokiem od bólu, śluzu i potu, choć robili z niej nietykalną – ona przez to nie czuła rąk, nóg ani twarzy! Biała i niewinna – nie mogła się ruszyć.

Sukienka od komunii malała, a Przystupę wciąż budziło w nocy skrzypienie małżeńskiego łoża ojca i ma-

cochy. Przy co przenikliwszych odgłosach jej ciało kurczyło się ze wstępu, strachu i obrzydzenia, ale z biegiem lat, gdy widziała ich za dnia szczęśliwych, zaczęła uważniej przysłuchiwać się stękaniu i wszystkim tym: „Ło la Boga!”

Koleżanki z krawieckiej zawodówki miały już chłopaków, a niejedna usunęła ciążę. Przystupa nie pozwalała się dotykać ani całować. Aż kiedyś zagadał ją niski chłopak, który dorabiał w warsztacie samochodowym mieszczącym się obok szkoły.

Zachwyciły ją jego słowa – jedwabiste i zmysłowe, nosowo przeciągane. Przystawała śledzić sens, poddając się czystej, żywej melodii, dalekiej od chaosu wymowy ojca, gruchoczącej żwirem przekleństw, od kapiących śliną pobekiwań niedorozwiniętego brata macochy, od gładkich, strofująco-uwierających wywodów księdza. Wydawało jej się, że w słowach chłopaka usłyszała prawdę i piękno. Pozwoliła, by kupił jej ciastko.

Pocałować dała się dopiero po kilku miesiącach. Nie zrażał się oporem, chwalił, że jest „porządną dziewczyną”. Aż kiedyś, gdy odwoził ją z dyskoteki samochodem pożyczonym od brata, zatrzymał się na poboczu, gdzieś między wsiami, i zaczął ją całować.

Zesztywniała, ale on, całując, nie przestawał mówić, pieścił ją tymi czystymi, pięknie skrojonymi słowami; no i poza ustami nigdzie indziej jej nie dotykał. Rozluźniła się, zaczęła normalnie oddychać. Musiała niewprawnie całować, bo oderwał się od niej na chwilę i zapytał: „To ja pierwszy jestem? Pierwszy?” Udała, że nie słyszy, a potem naprawdę nic nie słyszała, bo wsadził jej język w ucho.

Tej nocy nie pozwoliła na więcej. Dopiero jak mieli go zabrać do wojska, poszła z nim na dyskotekę, a w drodze powrotnej pozwoliła, by zatrzymali się na poboczu i przesiedli na tylne siedzenie.

Wsunął jej rękę pod sukienkę, ale zacisnęła nogi. Cofnął się, jednak po chwili znów spróbował. W końcu zaczęło ją mrowić gdzieś w środku, zrobiło jej się gorąco. Powoli, jakby na próbę, rozsunęła uda. Pogładził ją po brzuchu, pachwinach, włosach i naraz dotknął tak, że nieświadomie wygięła biodra. Dziwne to było, jak wyjmowanie drzazgi opaloną nad ogniem igłą, niby trochę bolesne, ale drażniąco przyjemne. Nacisnął znów i znów, aż sam nie mógł wytrzymać i niemal siłą położył jej rękę na swoim rozporku. Czując twardość, odepchnęła go gwałtownie. Kiedy obciągała sukienkę, chłopak zadrzał i zmoczył lekko jej udo.

Parę dni potem wzięli go do wojska. Przysłał dwa listy, ale nie odpisała, w końcu zamilkł.

Następny chłopak, z którym się umówiła, mówił gorzej, całował krócej, a gdy zostali sami, wyjął ze spodni gruby członek i kazał jej go wziąć do ust. Pachniał jak stary zmywak, więc uciekła.

Od tego czasu z nikim się nie umawiała, tylko coraz częściej pocierała swój niedawno odkryty guziczek. Wyprężyła się na swojej kozetce pod kołdrą, a ciepło i błogość rozchodziły się pulsującymi kręgami od bioder, przez brzuch, do głowy... Głaskała się potem po brzuchu, tak jej było dobrze, ciało znów należało do niej, było nią samą. Ale potem zaczynało robić się zimno, wkradała się obcość. Podciągała majtki i zwijała się skulona na boku.

To, że w końcu uciekła ze swojej wsi, mogło się wydawać oczywiste – większość dziewczyn wyjeżdżała, bo nie miały co tu robić, zostawały tylko te, które zaszły w ciążę i powychodziły za mąż. Przyjeżdżały co niedzielę do kościoła, słuchały słów księdza, rodziły i chowały dzieci, hodowały drób i zwierzęta, oganiały się od mężów.

Przystupa kończyła krawiecką zawodówkę. Do kościoła nie chodziła. I znów, jak w dzieciństwie – była sama. Aż w końcu zrozumiała, że musi stąd odejść.

Stało się to tego dnia, kiedy przechodziła rynkiem cichego miasteczka po pączki do narożnej cukierni. Minęła zamknięte na czas mszy wrota kościoła, gdy naraz coś przykuło jej uwagę – żółte forsycje kwitły jaskrawo pod starą budowlą. Przyłożyła daszek z ręki do czoła – przed laty, po wizycie u Pępichów, weszła do kościoła, a wszyscy spojrzeli na nią. W kokonie ich spojrzeń przez chwilę poczuła się nietykalna. Ale potem pojawił się ksiądz i ludzie się odwrócili.

Stała teraz pod drewnianymi drzwiami. Pchnęła je i stanęła na progu kościoła. Widocznie księdza jeszcze nie było, bo na jęk ochrypłych zawiasów wierni odwrócili głowy i przyłgnęli wzrokiem do chudej postaci z cienkim warkoczem. Przystupa cofnęła się odruchowo, a zimna klamka mocno wpiła jej się w plecy. Jęknęła, wznosząc oczy do sufitu, niczym Madonna.

Naraz dotarł do niej głos.

– Jezu, ona inna jakaś!

Macocha patrzyła na nią z otwartymi ustami, jakby widziała Przystupę pierwszy raz w życiu.

– Patrz, stary, ona obca jakaś! – powiedziała, szarpiąc męża za rękaw marynarki.

Ludzie popatrzyli na nią, potem znów na Przystupę. Chciała podejść do macochy, ale w tym momencie rozdzwoniły się dzwoneczki i po drugiej stronie kościoła pojawił się ksiądz. Wierni odwrócili się, zasłaniając macochę.

Z ołtarza popłynęły bezbarwne, strofująco-uwierające słowa. Zanim dotarły do drzwi, Przystupa pchnęła je i wyszła z półmroku w ostre, wiosenne słońce.

W Wielki Piątek stanęła na środku izby. „Muszem jechać...” – powiedziała. Macocha wybuchnęła płaczem, a Przystupa nic nie powiedziała, jak to ona.

Nazajutrz stała z walizką na przystanku pekaesu, próbując chwycić na pożegnanie sękatą dłoń ojca. Może i chciała coś powiedzieć, zamiast tego popatrzyła tylko na niego zza brudnej szyby i poddała się szarpnięciom autobusu.